

Patrycja MIKULSKA

KONIEC JEST BLISKO...

Problem końca świata to jeden z problemów mojego dzieciństwa. Nie pamiętam, skąd się wziął, jaka rozmowa dorosłych mi go podsunęła; a może źródłem było Pismo Święte, czytania liturgiczne, z których – wbrew pozorom – coś jednak musiałam usłyszeć, chociaż było to w czasach, gdy we mszy uczestniczyłam, biegając po przykościelnym trawniku.

Problem przybrał w końcu postać wewnętrznego zmagania: bałam się końca świata – cokolwiek miało się zdarzyć, miało to być przerażające, bardziej przerażające niż wszystko, co dotąd wzbudzało we mnie strach; miał też nastąpić sąd – ostateczny – a Sędzia wydawał się niezrozumiale surowy. Naprawdę jednak nic o owym końcu nie było wiadomo: ani co się wydarzy, ani kiedy to nastąpi. Miał jednak być blisko. Jak blisko?

Z drugiej strony koniec świata miał oznaczać powrót Jezusa, który – jak mi mówiono – jest moim przyjacielem i nie tylko dobrze odnosił się do dzieci, ale sam przez pewien czas był dzieckiem i wiedział, jak to jest. W jaki sposób pogodzić strach przed katastrofą z nadzieją na przyście przyjaciela – nikt nie odpowiadał.

Później mój strach przeszedł w fazę naukową. Jeszcze w szkole podstawowej natknęłam się w encyklopedii na hasła „entropia” i „śmierć cieplna Wszechświata”. Nie pamiętam, co tam przeczytałam, nie miałam zresztą żadnych szans, by to zrozumieć. Utkwiło mi jednak w pamięci wrażenie, jakie wywarł na mnie pozbawiony emocji, krótki naukowy tekst: zabarwione lękiem zdumienie, że rzeczy powoli tracą spoiwość i formę, i że proces ten jest nieuchronny. Jak długo potrwa?

W tych dziecięcych lękach mieszały się trzy różne (należące do różnych porządków i niekoniecznie wykluczające się) rozumienia końca świata: katastrofa kosmiczna, która spowoduje zagładę ludzkości, Paruzja oraz (hipotetyczny) etap ewolucji fizycznego Wszechświata. Dzieciństwo minęło, a wielki problem końca świata jako całości ustąpił miejsca trosce o inne, „lokalne” końce, zwłaszcza o te, które zależały od mojej decyzji, a czasem od skupienia na chwili obecnej.

Ciekawe, czy koniec świata często staje się tematem rozmyślań dzieci. Nie jest to przecież problem, którego pojawienie się należy uznać za oznakę wczesnej fazy rozwoju jednostek czy społeczeństw, zanikającą w miarę uzyskiwania dojrzałości – chociaż rzeczywiście bywa dzieciennie traktowany. Wydaje się zresztą, że właśnie teraz można by się dowiedzieć, jak faktycznie jest traktowany, bo chociaż niedawno najbliższy koniec świata odwołano, w ostatnich latach temat ten był żywo obecny w zbiorowej wyobraźni. Można by spróbować zbadać wyniki ruchu myśli, uczuć, wyobrażeń (który chyba przesadą byłoby nazwać społecznym namysłem) wywołanego przepowiednią bliskiego końca i zapytać o wizje końca świata obecne w lękach dorosłych. Jakiego końca oczekują dzisiaj? Czy

myślą o nim jako o czymś ostatecznym, czy też wyobrażają go sobie jako wydarzenie, po którym coś jeszcze nastąpi, na przykład jako katastrofę o niespotykanej dotąd skali, którą jednak – zwłaszcza jeśli się do niej odpowiednio przygotować – może się udać przetrwać? W jaki sposób łączą wyobrażenie końca czasoprzestrzennego kosmosu z religijnym rozumieniem końca świata – jako początku nowego, nieznanego i przekraczającego granice wyobraźni sposobu istnienia? Czy koniec świata uważają za coś, na co nie mają wpływu, co może się im niezależnie od nich zdarzyć, czy też sądzą, że mogą być za niego współodpowiedzialni? I dlaczego w ogóle gotowi są zwiastować koniec świata? Czy bardziej skłania ich – a może lepiej powiedzieć nas – do tego uniwersalne doświadczenie skończoności, czy też równie powszechne i podstawowe doświadczenie zła?

Niezależnie od przypisywanego mu sensu, nie ulega wątpliwości, że koniec świata bywa pożyteczny i to w bardzo prosty, „nieeschatologiczny” sposób: na przykład książki na ten temat wciąż przynoszą zysk autorom i wydawcom. I wydaje się, że „na tle” końca świata można reklamować niemal wszystko: od gadżetów, które mają umożliwić przetrwanie w ekstremalnie trudnych warunkach, po czipsy.

Koniec świata znajduje również zastosowanie – by tak rzec – dydaktyczne. Idea końca łączy się bowiem z myślą o podsumowaniu, rozliczeniu się, ostatecznym osądzie. W religijnym kontekście perspektywa (bliskiego) Sądu Ostatecznego ma nakłonić do opamiętania się, do głębokiej zmiany, do życia w taki sposób, by w każdej chwili ze spokojem można było zdać z niego sprawę Bogu. W terminach niereligijnych, czy też nie wprost religijnych, można by powiedzieć, że perspektywa utraty wszystkiego pomaga w uprzytomnieniu sobie, co jest najbardziej wartościowe.

Świadomość końca może jednak wywierać wpływ zgoła inny: wzmocnione przez nią doświadczenie przemijalności podważa niekiedy sens zabiegania o cokolwiek albo też zachęca do łapczywego korzystania z chwili obecnej – czas ucieka, a nie trzeba myśleć o skutkach działania, których już przecież nie będzie. Memento mori może płynnie przejść w *carpe diem*.

Żaden z przywoływanych dotąd sensów końca świata nie był ostateczny, żaden z tych końców nie oznaczał unicestwienia wszystkiego, niebytu. O tym niełatwo, czy może – jak twierdzą niektórzy filozofowie – nie da się nawet pomyśleć. Najbardziej radykalnym końcem dostępnym (nie bez zastrzeżeń) myśli byłaby zatem własna śmierć. Robert Spaemann pisał, że oznacza ona właśnie koniec świata: „Świat jest bowiem zawsze czymś światem. Jako mój świat – kończy się. Istnieje świat innych, który jest również przygodny. Nie istnieje continuum, które «toczy się» dalej”¹.

Chociaż o końcu trudno myśleć, koniec jest dla myślenia i dla życia, a zwłaszcza dla myślenia o życiu, konieczny. Koniec to w pewnym sensie zasada porządkująca. Jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy nie umierali? Jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy nie wiedzieli, że umrzemy? Jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy rzeczywiście wiedzieli, kiedy nastąpi koniec świata? To, jak rozumiemy koniec, czy obawiamy się go, czy na niego czekamy, czy jego nadejście w jakiś sposób od nas zależy, czy jesteśmy go pewni i czy wiemy, kiedy on nastąpi, istotnie wpływa na doświadczenie chwili obecnej.

Ważny jest jednak sam uświadomiony fakt skończoności – świadomość przemijania. Nie trzeba przepowiedni zbliżania się końca świata, by była ona dojmująca: nie tylko mamy pewność, że umrzemy (i nie jest to taka wiedza, jak ta o śmierci cieplej

¹ R. S p a e m a n n, *Osoby. O różnicy między czymś a kimś*, tłum. J. Merecki SDS, Oficyna Naukowa, Warszawa 2001, s. 141.

Wszelkości, lecz żywe doświadczenie śmierci innych ludzi, a także rozwijające się w nas dzień po dniu oznaki zbliżającego się własnego końca), ale też jesteśmy świadkami końca różnych światów – jak by powiedział Husserl – „światów życia”, przemijania kontekstów, które wydają się pewne jak grunt pod nogami. „Życie w czasie [...] jest również zawsze umieraniem w sensie konieczności oddawania. Czas zabiera nam stopniowo świat, więcej – nas samych. Pożegnanie jest podstawową strukturą życia świadomego [...]. Antycypacja śmierci [...] świadomość konieczności oddania życia, jest tym, co przenikając i strukturyzując nasze życie, czyni je życiem osobowym”².

Życie osobowe to zatem życie niecałkowicie zanurzone w świecie, życie, w którym świadomość końca pozwala na spojrzenie niejako z zewnątrz i z dystansu na chwilę bieżącą – a więc życie, w którym staramy się utrzymać równowagę między *memento mori* a *carpe diem*. Być może sztuka ta niekiedy udaje się dlatego właśnie, że nie wiemy, kiedy ów koniec nastąpi. Wiemy, że jest blisko; jak podpowiada angielskie wyrażenie „*the end is in sight*”, już go widzimy – ale godziny, w której nadejdzie, jednak się nie domyślamy.

² Tamże, s. 150.